



SŁUŻBA KOŚCIOŁOWI I ZGROMADZENIU W KONGO



Poniższy tekst, pochodzi z wywiadu przeprowadzonego przez Redakcję „Wiadomości Misyjnych” z ks. Januszem Zwolińskim na temat misji, jego osobistych doświadczeń, sytuacji Kościoła i Zgromadzenia Księża Misjonarzy w Kongo.

Ks. Janusz Zwoliński urodził się 4.10.1950 r. w Radwanowicach koło Krzeszowic. Wstąpił do Zgromadzenia Księża Misjonarzy w 1968 r. Po święceniach kapłańskich, które przyjął w 1975 r. wyjechał do Belgii na roczne przygotowanie do podjęcia pracy misyjnej w Zairze (dzisiaj Demokratyczna Republika Kongo). Wraz z ks. Bolesławem Potomskim i ks. Antonim Bobakiem należał do pierwszej grupy polskich misjonarzy, którzy podjęli posługę misyjną w Zairze. W ciągu 30 lat pracy misyjnej odwiedzał wspólnoty chrześcijańskie w buszu, organizował katechumenat, był proboszczem, inicjatorem dzieł na rzecz rozwoju, wikariuszem generalnym diecezji Mbandaka-Bikoro. Był pierwszym dyrektorem nowo powstałego Seminarium Internum i rektorem Wyższego Seminarium. Przez 9 lat pełnił obowiązki wizytatora Prowincji Kongijskiej Zgromadzenia Księża Misjonarzy. Był dyrektorem krajowym Stowarzyszenia Cudownego Medalika (AMM) i Młodzieży Maryjnej (JMV). Po zakończeniu pracy misyjnej w Kongo, podjął posługę kapłańską w Grecji. Obecnie jest superiorem misjonarskiego domu w Salonikach.

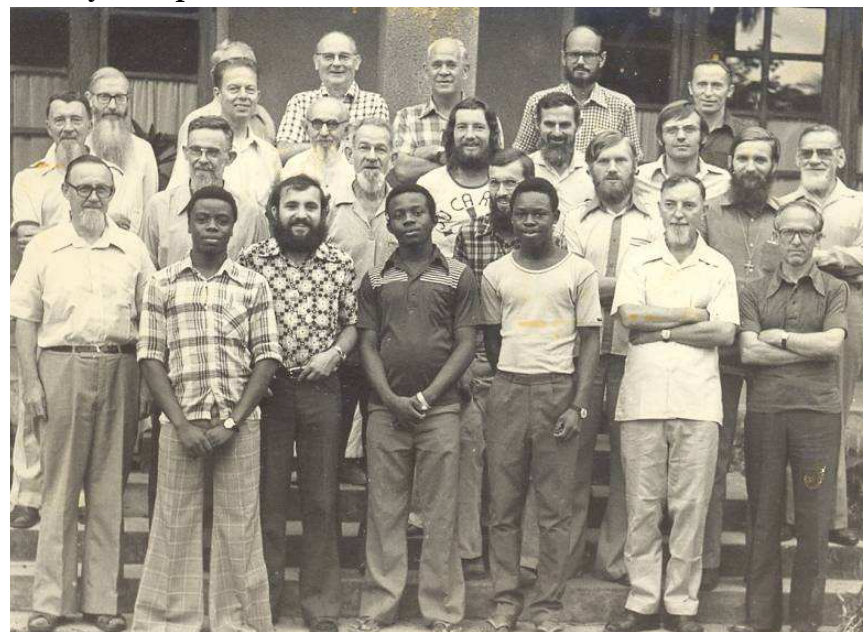
Wyjechał ksiądz na misje do Zairu (dzisiaj Demokratyczna Republika Kongo) w pierwszej grupie misjonarzy polskich w 1976 roku. Pracował ksiądz jako misjonarz przez 30 lat. Jaka była geneza wyjazdu polskich misjonarzy do Zairu? Jak wspomina ksiądz początki pracy misyjnej?

Na początku mojej misjonarskiej formacji w Seminarium Duchownym na Stradomiu, bardzo przeżywaliśmy wyjazd pierwszych polskich misjonarzy na Madagaskar. Pożegnanie wyjeżdżających misjonarzy i późniejsze listowe kontakty z nimi bardzo przyczyniły się do zrodzenia się mojego, i nie tylko mojego pragnienia pracy na misjach. Wtedy myśleliśmy o Madagaskarze, ale Pan Bóg miał inny zamiar. Byłem na trzecim roku teologii, kiedy do naszego Seminarium przyjechał misjonarz z Kongo ks. Henry de Cuijper. Przyjechał przede wszystkim by spotkać się z Księdzem Wizytatorem Tadeuszem Gocłowskim, ale nie zabrakło też spotkania z klerykami. Nie znam szczegółów rozmowy księdza Henry'ego z Wizytatorem, ale podobno na początku nie rokowało ono podjęcia się przez Polską Prowincję nowej, drugiej poza Madagaskarem misji. Jednak ks. Henry potrafił „wymusić” na Księdzu Wizytatorze zapewnienie, że rozważy tę prośbę. I kiedy na następny rok zgłosiła się spora grupa seminarzystów, prowincja zdecydowała się na rozpoczęcie nowej misji. Na początek wyjechało nas trzech. Od początku jednak prowincja zobowiązała się do skierowania na misje w Kongo większej liczby misjonarzy.

W Kongo zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci przez weteranów misyjnych, przede wszystkim z Belgii i Holandii, którzy pracowali w regionie obejmującym dawną diecezję Bikoro, położoną nad rzeką Kongo na południe od równika. Po śmierci misjonarskiego biskupa, konfratry byli trochę zagubieni i z utęsknieniem oczekiwali na nowych misjonarzy. Nie mogli liczyć na pomoc z Belgii i Holandii, gdzie nie było już misjonarskich powołań. Próby pozyskania nowych misjonarzy innych narodowości, jak np. Hiszpanów nie przyniosły również rezultatów. Zaś na miejscu, w całym tym regionie, praktycznie nie było jeszcze powołań, ani do Zgromadzenia, ani do diecezji. Dopiero nominacja prawie w tym samym czasie nowego biskupa

w diecezji Mbandaka-Bikoro, zmieniła tę sytuację. Coraz więcej chłopców zaczęło myśleć o kapłaństwie.

Początki pracy misyjnej w Kongo to najpierw odkrywanie nowego, nieznanego świata. Świata o całkiem innym klimacie, roślinności, warunkach życia i mentalności, zarówno misjonarzy jak i miejscowej ludności. Wcześniej nie wyobrażałem sobie, że ludzie mogą być tak biedni, a równocześnie tak radosni i uśmiechnięci. To również odkrywanie tamtejszego Kościoła, posiadającego swoją własną liturgię, swój własny styl duszpasterstwa opartego w dużej mierze na zaangażowaniu ludzi świeckich, przy równoczesnym ubóstwie struktur materialnych. Mimo gorąca i komarów, mimo spartańskich warunków życia, zwłaszcza podczas wypraw misyjnych do „buszu”, było w nas dużo radości i entuzjazmu wynikających z faktu, że uczestniczymy w czymś wielkim i pięknym, i że naprawdę jesteśmy tam potrzebni.



Do Zairu, czyli Konga wyjechało 22 polskich misjonarzy ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy. Jaki był ich wkład w misję, którą podjęli 50 lat wcześniej misjonarze belgijscy i holenderscy? Czym Polacy zaznaczyli swoją obecność?

Przyjazd polskich misjonarzy zapewnił przede wszystkim kontynuację pracy naszych poprzedników. Ich siły stopniowo malały i nie byli już w stanie zapewnić odpowiedniej posługi duszpasterskiej wiernym w powierzonych im parafiach. Wiele z tych parafii było bardzo rozległych i trzeba było podejmować wielotygodniowe wyprawy do wiosek, oddalonych nieraz o kilkadziesiąt i więcej kilometrów od misji. Nieistniejące prawie drogi, w większości wypadków nie pozwalały na używanie samochodu. Do wielu wiosek można było dotrzeć jedynie na motorze, na rowerze lub też pieszo. Trochę lepiej było z wioskami położonymi nad brzegiem jeziora Tumba albo rzeki Kongo, gdzie dość wygodnym, ale niebezpiecznym i drogim (bo benzyna była bardzo kosztowna) środkiem lokomocji była miejscowa niewielka łódź zwana pirogą. Młodym i sprawnym misjonarzom z Polski o wiele łatwiej było poruszać się po tym trudnym terenie niż schorowanym, często starszym misjonarzom.



Oczywiście nie chodziło tylko o zwykłą kontynuację pracy poprzedników. Spontanicznie zaczął się zmieniać styl misjonarskiego posługiwania. Wyrósł w innej kulturze i nieobciążeni kolonialną przeszłością, byliśmy bardziej ufni w stosunku do miejscowej ludności, bardziej otwarci na współpracę z nimi. Taka postawa bulwersowała czasami przyzwyczajenia starszych konfratrów i prowadziła do pewnych konfliktów z nimi. Patrząc z perspektywy czasu, na ogół byli oni jednak bardzo wyrozumiali dla nas i dla naszych pomysłów.

Do stopniowego wypracowywania nowego stylu naszego misjonarskiego posługiwania przyczyniło się jeszcze coś innego. W 1975 roku powstało w Bikoro Centrum Formacji dla Katechistów. Przez okres dziewięciu miesięcy katechiści, każdy ze swoją rodziną, przygotowywali się do bardziej efektywnej pracy w swoich wspólnotach. Centrum to założył i prowadził przez pierwsze lata, ks. Alvaro Restrepo z Kolumbii. Wychowankowie Centrum stawali się prawdziwymi animatorami wspólnot chrześcijańskich w wioskach i bardzo cennymi współpracownikami misjonarzy. Oczywiście od samego początku misji w wioskach byli katechiści, często bardzo oddani Kościołowi. Jednak wielu z nich nie miało odpowiedniego przygotowania. Dzięki wiedzy, entuzjazmowi i inicjatywom wychowanków Centrum Formacji, i co trzeba również podkreślić, bardziej regularnym wizytom misjonarzy w wioskach, nastąpiło znaczne ożywienie tamtejszych wspólnot chrześcijańskich.

Praca z młodzieżą, do której zachęcał nas słowem i przykładem biskup Mbandaki Frédéric Etsou-Nzabi-Bamungwabi, po kilku latach zaczęła owocować pierwszymi w tym regionie powołaniami kapłańskimi. Pierwsi kandydaci do Zgromadzenia zgłosili się w 1980 roku. Było to dla nas wielkie wyzwanie, bo nie dysponowaliśmy odpowiednio wykształconymi konfratrami, ani nie posiadaliśmy materialnych struktur do

formacji. Starsi konfratry, na ogół z początku byli bardzo sceptyczni, jednak widząc nasz zapał, zdecydowali się podjąć to wielkie wyzwanie. W ten sposób w 1981 r. powstało Seminarium Internum w Bokongo, zaś w 1985 r. Dom Formacyjny w Kinszasie. W 1987 r. został wyświęcony pierwszy kongijski (zairski) misjonarz i od tego czasu co roku nowi miejscowi misjonarze otrzymują święcenia kapłańskie. Oczywiście nie tylko Polacy uczestniczyli w formacji miejscowych misjonarskich kandydatów do kapłaństwa. Ale w pewnym okresie to właśnie na barkach Polaków spoczywał ciężar prowadzenia tego dzieła. Ośmielam się powiedzieć, że dzięki naszej obecności i pracy na parafiach i później w domach formacji, Prowincja Kongijska Zgromadzenia liczy obecnie blisko 40 miejscowych misjonarzy.

Jak ocenia ksiądz pracę misyjną z punktu widzenia doboru misjonarzy. Czy bardziej efektywna jest praca misjonarzy tworzących wspólnotę międzynarodową czy raczej wspólnotę złożoną z misjonarzy tej samej narodowości? W Kongo były to wspólnoty międzynarodowe. Czy nie sądzi ksiądz, że praca naszych misjonarzy byłaby bardziej owocna, gdyby Polacy pozostali we wspólnotach tylko polskich? Znamy pozytywny przykład takiej wspólnoty, którą tworzyli w Kongo polscy misjonarze michalici.

Są to trudne pytania. Pierwsze dotyczy doboru misjonarzy. Ten dobór zależał od Przełożonych w Polsce. W pierwszych latach kryteria doboru nie były ściśle określone. Stąd powroty do Polski niektórych misjonarzy po kilku latach. Z czasem, poprzez kontakty misjonarzy pracujących w Kongo z macierzystą prowincją w Polsce, polscy przełożeni zaczęli sobie lepiej zdawać sprawę z wymagań tej pracy i bardziej uważać na wybór



odpowiednich ludzi. Jednak wydaje mi się, że przez cały czas brakowało prawdziwego dialogu między Przełożonymi z Polski i z Kongo. Polska wysyłała misjonarzy. Przejmowała ich najpierw Misja, potem Region Prowincji Belgijskiej, pod którą podlegało Kongo, zanim powstała autonomiczna wiceprowincja i wreszcie Prowincja Kongijska, zapewniając utrzymanie, opiekę zdrowotną i niezbędne środki do pracy. W pierwszych latach, Wizytator Prowincji Belgijskiej ks. Carl Gielen był łącznikiem między Belgią, Polską i Kongo. Gdy jego zabrakło, wzajemne kontakty stawały się coraz bardziej sporadyczne, i najczęściej wynikały z potrzeby szukania rozwiązań dla pojawiających się problemów personalnych poszczególnych misjonarzy. Z jednej strony było to zrozumiałe, bo wyjeżdżając do Kongo polscy misjonarze przechodzili pod inną jurysdykcję. Z drugiej strony jednak czuliśmy się czasami trochę „opuszczeni” przez macierzystą prowincję. Doznawaliśmy dużo życzliwości ze strony konfratrów podczas urlopów w Polsce. Jednak brakowało nam trochę większego zrozumienia naszych trudności i problemów, z którymi

nie bardzo umieliśmy sobie poradzić. Bardzo cenne były dla nas wizyty w Kongo ks. Floriana Kapuściaka, ks. Jana Dukały i ks. Tadeusza Lubelskiego. Jednak takich wizyt było trochę za mało.

Drugie pytanie jest jeszcze bardziej trudniejsze. Bardzo trudno ocenić czy inaczej, lepiej wyglądałaby nasza praca w Kongo, gdybyśmy pracowali tylko w „polskich” wspólnotach. Na przyjęcie formuły wspólnot międzynarodowych nie mieliśmy wpływu. Została nam ona narzucona przez miejscowych przełożonych, zapewne po konsultacji z naszymi polskimi przełożonymi. Mieliśmy się włączać w życie i działalność istniejących wspólnot i stopniowo przejmować za nie odpowiedzialność, a nie tworzyć czysto „polskie” wspólnoty i sektory. Z resztą z czasem powstawały też „polskie” wspólnoty, wynikające z potrzeby chwili. Ale nigdy nie była to obowiązkowa reguła. Czy to dobrze czy źle, nie umiem powiedzieć. Wydawało mi się jednak, i nadal wydaje, że celem misji jest budowanie tubylczego Kościoła (i rodzimego Zgromadzenia), a nie jakiejś narodowej enklawy, skazanej wcześniej czy później na zniknięcie. Może życie i praca w „polskiej” wspólnocie, pod pewnymi względami byłyby łatwiejsza, ale taka formuła groziła zamknięciem się w sobie i odrzuceniem innych, co w dalszej perspektywie rozmiękało się z celem misji.

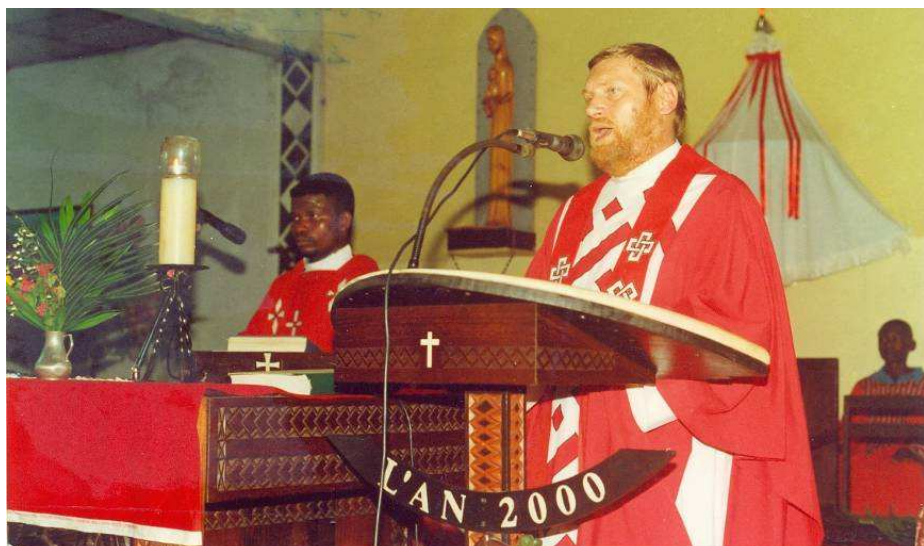
Pod koniec lat 90-tych, kiedy liczba miejscowych misjonarzy zaczęła być już dość znacząca, zaś liczba misjonarzy belgijskich i holenderskich gwałtownie się zmniejszała, na placu boju pozostały praktycznie dwie grupy misjonarzy: Polacy i Kongijczycy, co prowadziło do nasilającej się rywalizacji i nieuniknionych wzajemnych tarć. Moim zdaniem, obecność kilku misjonarzy innych narodowości rozładowałoby to napięcie, ale nie udało się ich pozyskać. Zrodziła się wtedy oddolnie idea by stworzyć nie tylko „polskie” wspólnoty, bo takich kilka już istniało, ale „polski” sektor misyjny. Osobiście byłem temu



przeciwny w myśl zasady, że mimo trudności, nie wolno nam zamykać się w sobie.

Przykład polskiej wspólnoty Księży Michalitów w Yumbi nie za bardzo pasuje do opisywanej powyżej sytuacji. Michalici przyjechali do Konga by tworzyć własną wspólnotę (choć w pewnym okresie wspomagali również misjonarską wspólnotę w sąsiednim Bolobo). Mieli zamiar utworzyć nową fundację swojego Zgromadzenia w Kongo i z czasem otworzyć się na miejscowe powołania. Zamiar ten się powiódł, bo nie uzyskali odpowiednich gwarancji ze strony miejscowych władz kościelnych. Po dziesięciu latach bardzo dynamicznej pracy, zdecydowali się opuścić ten kraj. Szkoda, bo posiadali spory misjonarski potencjał.

Minęło sto lat od przybycia pierwszych misjonarzy do Kongo (nazwa Zair weszła w użycie w 1971 roku). Na terenach, gdzie podjęli misyjną posługę Polacy, pierwsi misjonarze osiedlili się na stałe w 1925 roku. Czy można powiedzieć, że orędzie chrześcijańskie wcieliło się w tamtym obszarze kulturowym w taki sposób, że wyraża się za pomocą elementów właściwych tamtej kulturze i przekształciło kulturę afrykańską, tak by była ona jednocześnie chrześcijańska? Innymi słowy jak przebiegał proces inkulturacji?



To byłby temat na książkę. Odpowiem krótko. Posłanie ewangeliczne natrafiło w Kongo na podatny grunt, bo Afrykańczycy z natury są religijni. Istnienie świata nadprzyrodzonego w tym Istoty Najwyższej jest dla nich czymś prawie naturalnym i oczywistym. Istota Najwyższa jest dobra i przychylna ludziom, ale zbyt odległa by mieszać się w ich

codzienne życie. Za to inni, „niewidzialni” mieszkańcy świata, duchy, dusze przodków itd. są blisko ludzi i ingerują w ich życie. Mogą być przychylni albo wrodozy człowiekowi, czyli mogą pomagać albo szkodzić. Afrykańczycy żyją w niepewności i strachu. Starają się więc, za pomocą najróżniejszych praktyk, zapewnić sobie przychylność dobrych duchów i ochronę przed działaniem tych złych.

Ewangelia Chrystusowa trafiła na dobry grunt, bo umocniła w nich wewnętrzne przekonanie, że Istota Najwyższa jest im przychylna, co więcej jest dobrym Ojcem, który troszczy się o swoje dzieci i pragnie ich zbawienia. Była to dla nich prawdziwie Dobra Nowina. Jednak strach przed innymi, niewidzialnymi siłami, które mogą szkodzić niestety nie zniknął całkowicie. Ciągle jeszcze można spotkać kilka dawnych praktyk, które miały zapewnić ich przychylność. Jednym słowem proces wzajemnego przenikania się Ewangelii i afrykańskiej kultury wciąż jeszcze trwa.

Liczba chrześcijan w Kongo rośnie bardzo szybko. Dzisiaj jest to już więcej niż połowa ludności. Czy temu wzrostowi ilościowemu odpowiada jakość życia chrześcijańskiego? Ciągle bowiem słyszymy o wojnach plemiennych dziesiątkujących ludność, bezpardonowej walce o władzę, korupcji, która wkradła się już wszędzie, odradzających się praktykach pogańskich włącznie z kanibalizmem.

Oczywiście wszystkie te zbrodnie i nadużycia mają miejsce w Afryce i w Kongo. Ale to nie one same decydują o jakości życia chrześcijańskiego ogółu wiernych. O takich zachowaniach wszędzie jest głośno, ale równocześnie każdy z nas misjonarzy spotkał się z ludźmi, którzy żyją na co dzień Ewangelią. Znane powiedzenie mówi, że dobro nie czyni hałasu. Ja bym nie

wyciągał pospiesznych i ogólnikowych wniosków. Ile czasu potrzeba było Europie, by Ewangelia Chrystusowa przetworzyła podstawowe dziedziny życia jej mieszkańców? Takie negatywne zachowania zdarzają się wszędzie, nie tylko w Afryce. Trzeba po prostu, tam jak i wszędzie indziej wytrwale i z nadzieją siać Boże słowo. I prosić Pana żniwa, by przygotował serca na jego przyjęcie.



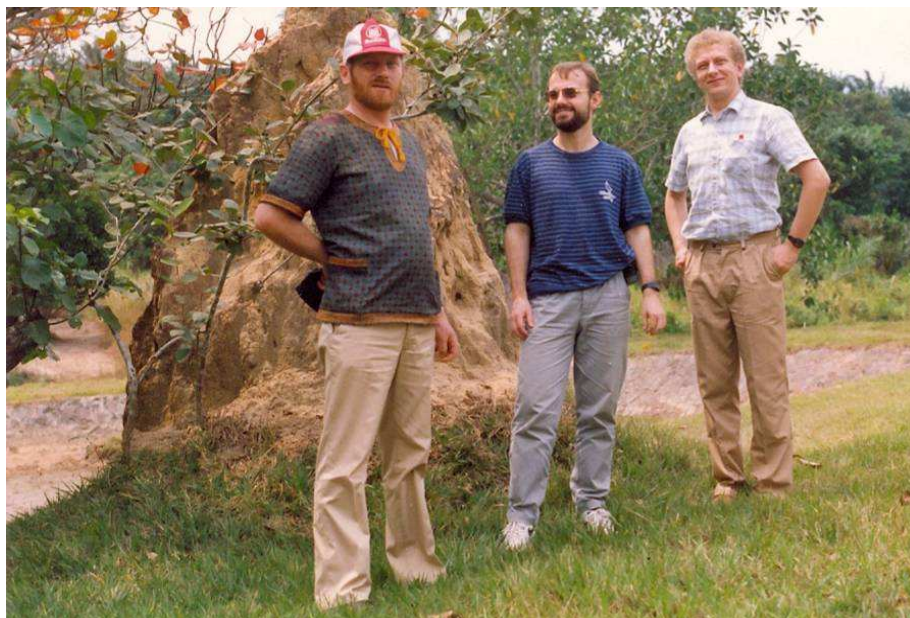
Gdyby jednak założyć, że jakoś nie odpowiada ilości, co zawiniło? Błędna metoda ewangelizacji? Mentalność afrykańska? Inne czynniki?

Już mówiłem, że nie uważam, aby wysiłek włożony przez tylu wspaniałych misjonarzy i miejscowych oddanych księży i katechistów świeckich w ewangelizację Konga poszedł na marne. Może nie zawsze zagraniczni misjonarze dobrze rozumieli miejscową kulturę. Może pierwszym miejscowym księżom i

katechistom czasami brakowało odpowiedniego podejścia do misji i prawdziwej bezinteresowności. Jednak faktem jest, że wielu ludzi szczerym sercem przyjęło Ewangelię i starają się nią na co dzień żyć. Na pewno ciążą nad nimi, przecież nie całkiem stare, tradycje i zwyczaje. Na pewno wpływ otoczenia nie zawsze pomaga im w zachowywaniu zasad Ewangelii w codziennym życiu. Na wszystko potrzeba czasu. Przecież ewangelizacja Europy nie dokonała się w ciągu kilku dziesiątek lat.

Jakimi wartościami kultura afrykańska ubogaca Kościół powszechny?

Powiem o najważniejszej. Afrykańczycy olbrzymią rolę przywiązują do rodziny, a następnie do klanu i plemienia. W Afryce bardzo ważna jest wspólnota. Jednostka bez wspólnoty, przede wszystkim rodzinnej nie może istnieć. W rodzinie każdy, od najmłodszego do najstarszego ma swoje miejsce. Jednostka w rodzinie afrykańskiej, wielopokoleniowej, czuje się bezpiecznie, bo może liczyć na innych. Musi również troszczyć się o innych członków rodziny i czuć się za nich odpowiedzialna. To przenosi się naturalnie na płaszczyznę wiary. Afrykańczykom nie wystarczy przyzywanie wiary w sposób indywidualny. Wiara prowadzi do wspólnoty z innymi. Dlatego lubią spotykać się z innymi, wspólnie się modlić i świętować. Nie wstydzą się wyrażać publicznie swoich uczuć religijnych. Tej naturalności i spontaniczności uczy nas Ewangelia, ale my Europejczycy trochę o tym zapomnieliśmy. Afrykańczykom przychodzi to łatwiej. Dla nich Kościół to wielka Rodzina dzieci Bożych, jak to często powtarzają tamtejsi biskupi. Rodzina, która nie opiera się na więzach krwi, ale na wierze w Jezusa Chrystusa.



Co Kongijczycy cenią sobie najbardziej w Kościele katolickim?

Chyba właśnie to, że Kościół jest taką jedną wielką rodziną, która gromadzi wszystkich, niezależnie od koloru skóry, plemienia, języka czy kultury. Bo tradycyjna rodzina była wspólnotą dość zamkniętą w sobie. Inni byli potencjalnymi wrogami, a przynajmniej rywalami. Kościół to miejsce, gdzie mogą spotykać się i wspólnie chwalić Pana Boga członkowie różnych rodzin, klanów, plemion, narodowości. Jednak może nie do końca Kościół katolicki w Afryce korzysta z tej szansy. Afrykańczycy szukają akceptacji i ciepłych rodzinnych relacji międzyludzkich. Gdy tego nie znajdują w miejscowych często za bardzo anonimowych wspólnotach parafialnych kierują się do sekt i grup modlitewnych innych chrześcijańskich Kościołów.

Wielu misjonarzy dzieląc się swoimi przeżyciami stwierdza, że na misjach nie tylko się daje, ale także otrzymuje. Niektórzy mówią wręcz: „przewartościowałem mój świat”. Czy ksiądz ma podobne przeświadczenie? Jeżeli tak, to co otrzymał ksiądz od ludzi, których ksiądz ewangelizował?

Oczywiście zgadzam się z tym stwierdzeniem. W każdej prawdziwej relacji międzyosobowej następuje wzajemne ubogacenie obu stron. Misjonarz dzieli się z innymi słowem Bożym i wiarą Kościoła. Na początku próbuje równocześnie narzucać innym swój sposób myślenia i życia oparty na innej kulturze i wychowaniu. To jest błąd, bo trzeba przede wszystkim poznać i zrozumieć ludzi, wśród których się żyje, by uczynić swoje przepowiadanie i świadectwo dostępnym i zrozumianym przez tubylców. Dokonuje się to stopniowo, poprzez naukę języka, ograniczanie swoich potrzeb, by poziomem życia za bardzo nie odbiegać od warunków życia tamtejszych ludzi, wreszcie poznanie ich zwyczajów i tradycji. Na początku mojego misyjnego posługiwania spotkałem starszego misjonarza, który poradził mi, abym przez pierwsze trzy lata trzymał moje oczy i uszy szeroko otwarte, a swoje usta zamknięte. Trzeba najpierw poznać tamtejszych ludzi, ich zwyczaje i ich sposób życia. Dopiero potem można im coś sensownego powiedzieć. Trzeba wystrzegać się pochopnych negatywnych ocen, bo to co z początku wydaje się być niezrozumiałe i nawet karygodne, opiera się na innej jak europejska logice i doświadczeniach, a w tamtych warunkach miało i często nadal ma swój głęboki sens.

Spotkanie z Afryką nauczyło mnie przede wszystkim poszanowania dla innych kultur i zachowań. Kultura europejska, w której wyrosłem nie jest jedyna i najlepsza z możliwych. Można żyć inaczej przywiązując większą wagę do bezpośredniej relacji z innymi, nie licząc wyłącznie na własne siły i umiejętności, ale

szukając oparcia w innych. I służąc innym, bo przecież nie żyjemy tylko dla siebie, ale dla innych. Ten, kto dba tylko o siebie, żyje tylko dla siebie, traci coś bardzo ważnego.

Oprócz wspólnej wszystkim misjonarzom posługi, pełnił ksiądz również odpowiedzialne funkcje. Był ksiądz inicjatorem otwarcia domów formacji dla przyszłych Misjonarzy Kongijczyków i pierwszym Dyrektorem Seminarium Internum, a następnie dyrektorem kleryków w Wyższym Seminarium. Jak wygląda w Kongo rekrutacja i formacja kandydatów do Zgromadzenia Księży Misjonarzy?

Tak się złożyło, że wraz z rozpoczęciem przez polskich misjonarzy pracy z Zairze, pojawili się pierwsi miejscowi kandydaci do Zgromadzenia. Trzeba było podjąć się nowego, bardzo odpowiedzialnego wyzwania jakim była formacja przyszłych misjonarzy. Przełożeni poprosili mnie, bym włączył się do tego dzieła. Lata osiemdziesiąte były czasem tworzenia od podstaw nieodzownych dla formacji struktur. Powstało Seminarium Internum w dostosowanych do tego celu budynkach w Bokongo. Po Internum klerycy udawali się na dalszą formację do Kinszaszy, więc trzeba było od podstaw wybudować Seminarium Duchowne.

Kiedy objąłem urząd wizytatora, te instytucje już funkcjonowały. Napływ kandydatów napawał nas radością, ale przysparzał również wiele trosk i zmartwień. Prowincja borykała się przede wszystkim z brakiem należycie przygotowanych formatorów. Kilku Konfratrów zostało skierowanych na studia do Rzymu, ale to jeszcze nie rozwiązywało problemu. Byliśmy świadomi, że stoimy przed wyzwaniami, do których nie byliśmy przygotowani i które po prostu nas przerastały. Pierwsi miejscowi Konfratry, po odbyciu kilkuletnich studiów, „rwali” się do

odpowiedzialnych funkcji, ale brakowało im doświadczenia i często przeceniali swoje umiejętności. Ale nie mieliśmy wielkiej możliwości manewru. I choć wielokrotnie zwracaliśmy się do Rzymu, czy do innych Prowincji Zgromadzenia z prośbą o formatorów, w ostateczności z naszymi problemami musieliśmy sobie radzić sami. Zapewne nie zawsze z najlepszym skutkiem.

Rekrutacja kandydatów do Zgromadzenia od samego początku odbywała się w misjonarskich wspólnotach. Chłopcy, którzy myśleli o wstąpieniu do Zgromadzenia musieli przez kilka lat być w kontakcie z misjonarzami, albo ewentualnie z siostrami miłosierdzia. Bo tylko Konfratry albo siostry miłosierdzia mogli rekomendować kandydatów. Miało to swoje dobre, ale też i złe strony. Dobre, bo kandydaci nie byli już nam całkowicie nieznani i poprzez opiekujących się nimi misjonarzy mieli już jakieś pojęcie o Zgromadzeniu i jego misji. Złą stroną jest to, że Zgromadzenie tradycyjnie pracuje tylko w Regionie Równika. Dopiero stosunkowo od niedawna obecne jest również w mieście Mbandaka i w stolicy, w Kinszasie. To sprawia, że zdecydowana większość miejscowych Konfratrów pochodzi z jednego regionu, tego, w którym przychodzi im później pracować. Bardziej zróżnicowane pochodzenie kandydatów zapewne byłoby korzystniejsze dla miejscowej Prowincji Zgromadzenia. Formacja do Zgromadzenia trwa dziesięć lat. Kandydaci, którzy ukończyli szkołę średnią przechodzą najpierw roczny „postulat”, którego główne cele to pogłębienie podstawowych wiadomości religijnych i uzupełnienie ogólnego wykształcenia, głównie z zakresu znajomości języka francuskiego. Po roku kandydaci odprawiają roczne Seminarium Internum i następnie w Kinszasie odbywają trzyletnie studia filozoficzne. Po filozofii udają się do którejś z naszych wspólnot na roczną praktykę, a następnie podejmują czteroletnie studia teologiczne.

Kiedy powstała Prowincja Kongijska został ksiądz jej pierwszym Wizytatorem. Prosimy podzielić się z nami doświadczeniem tych dziewięciu lat kierowania Prowincją w okresie trudnym, który charakteryzował się wzrostem ubóstwa, dwiema wojnami, a także wyzwaniem, jaki stanowiła duża liczba kandydatów do Zgromadzenia.

Najpierw trochę najnowszej historii misji zairskiej. W 1960 obecna Demokratyczna Republika Kongo (wtedy Kongo Leopoldville, kolonia belgijska), uzyskała niepodległość. Misjonarze belgijscy, którzy stanowili zdecydowaną większość katolickiego duchowieństwa ówczesnego Kongo, mimo niezbyt przychylnego nastawienia nowych władz, narastających ruchów separatystycznych i narastających trudności materialnych, poza nielicznymi wyjątkami, odważnie kontynuowali swoją posługę misyjną i duszpasterską.

Podobnie postępowali również Misjonarze św. Wincentego a Paulo. Ponieważ już wtedy w Belgii rozpoczął się kryzys powołań, poprosili o pomoc misjonarzy holenderskich. Mimo trudności, nie brakowało zapału, o czym świadczy zorganizowanie Małego Seminarium i przekształcenie Misji Sui Iuris w diecezję w Bikoro, na której czele stanął biskup ze Zgromadzenia. Z upływem czasu siły misjonarskie zaczęły słabnąć, Holandia nie mogła przysyłać nowych konfratrów, a Seminarium nie dawało spodziewanych owoców. Gdy w końcu biskup Camille Vanderkerkove zachorował a następnie zmarł, nastąpiło załamanie, czego zewnętrznym dowodem była likwidacja diecezji Bikoro (i przyłączenie jej terytorium do sąsiedniej diecezji Mbandaka, która zmieniła nazwę na Mbandaka-Bikoro). Wraz z przyjazdem polskich misjonarzy (a potem misjonarzy z Brazylii i dwóch księży diecezjalnych ze Słowenii) sytuacja szybko zaczęła się zmieniać. W 1979 r., w

ramach Prowincji Belgijskiej powstał Region Zairski. W 1982 została utworzona wiceprowincja, a w 1991 Prowincja.

Obejmując urząd wizytatora, wiedziałem że czeka mnie bardzo trudne zadanie, choć nie zdawałem sobie sprawy, że Zair wchodzi w tak tragiczny okres swojej historii. Po upadku muru berlińskiego, powiew nadziei dotarł również do czarnej Afryki. Ale zamiast demokratyzacji życia politycznego, na co wskazywałyby pewne kroki prezydenta Mobutu, byliśmy świadkami postępującego rozkładu aparatu państwowego, nasilającej się korupcji i ogólnemu chaosowi. Poziom życia miejscowej ludności, który już wcześniej uważany był za jeden z najniższych w Afryce, zaczął się gwałtownie pogarszać, co prowadziło do rosnącego niezadowolenia, protestów i w końcu do systematycznych grabieży wszystkiego, co posiadało jakąś wartość dla głodującej ludności.



Nasze wspólnoty w tym i w późniejszym okresie bezpośrednio nie ucierpiały, ale dochodziły do nas wiadomości, co dzieje się w innych regionach kraju. Ciężko to niewątpliwie na naszej psychice i bardzo utrudniało normalną pracę misyjną. Najprostsze sprawy, np. zakupienie paliwa do samochodów i motorówek, koniecznych do wizytacji katolickich wspólnot po wioskach, albo po prostu do utrzymania zwykłego kontaktu między nami, stawały się coraz bardziej skomplikowane. Niepewność jutra, fizyczne zmęczenie i napięcie nerwowe coraz bardziej dawały nam się we znaki. Prowadziło to do coraz większego wyczerpania. W początkowym okresie dawaliśmy sobie z tym radę. Ale potem zaczęło brakować sił i ochoty do dalszej walki. Wtedy zaczęły się powroty misjonarzy do Europy.

Niezależnie od czynników zewnętrznych, przyczyniła się do tego zapewne zmieniająca się sytuacja wewnątrz Prowincji. Do tej pory wspólnoty, choć międzynarodowe, były wspólnotami złożonymi z misjonarzy: Belgów, Holendrów, Polaków itd. Teraz zaczęli do nich dołączać Konfratry zairscy, co pociągnęło za sobą konieczność zrewidowania ustalonego od lat trybu życia i posługi misjonarskiej. Było to zrozumiałe, bo miejscowi księża mieli prawo do wypracowania swojego własnego stylu bycia misjonarzem. Wierni również tego od nich oczekiwali. Ale prowadziło to do napięć i wzajemnego niezrozumienia wewnątrz samych wspólnot.

Przyszedł moment, że misjonarze, choć ciężka na nich odpowiedzialność za dzieło, które stworzyli, zaczęli rozumieć, że w Kongo powoli kończy się era zagranicznych misjonarzy, i co za tym idzie, odpowiedzialność za Kościół i Zgromadzenie muszą stopniowo przejmować rodzimi księża. Zresztą taka była już wtedy sytuacja miejscowego Kościoła, gdzie wszyscy biskupi i zdecydowana większość przełożonych wspólnot zakonnych wywodziła się z miejscowego duchowieństwa. Ta ewolucja była

również dla nas nieunikniona, choć w moim rozumieniu nastąpiła zbyt szybko, bo wszyscy rodzimi Konfratry byli jeszcze młodzi i niedoświadczeni. Ale niepewność jutra dopingowała mnie do tego, by jednak stawiać na młodych, bo nikt nie mógł przewidzieć jak długo jeszcze sytuacja pozwoli nam tam pozostać.

Kiedy wybuchła wojna 1996/1997 i zbliżyła się do Prowincji równikowej, gdzie pracowała większość Konfratrów, przebywał ksiądz w stolicy kraju, w pewnym sensie można powiedzieć miejscu bezpiecznym. Znana jest księdza decyzja, aby być razem z zagrożonymi działaniami wojennymi Konfratrami. Ponieważ samoloty cywilne już nie latały wsiadł ksiądz do samolotu wojskowego i odbył podróż od początku do końca na stojąco. Następnie samochodem pozostawionym przez siostry, które się wcześniej ewakuowały, odbył ksiądz nie- bezpieczną podróż nocą aż dotarł do Konfratrów. Co księdzem kierowało i co ksiądz wtedy przeżywał? Przecież ten wojskowy samolot mógł zostać zestrzelony. Jak przekonał ksiądz żołnierzy jadących na wojnę, aby zabrali go ze sobą?

W zasadzie dwa razy wracałem z Kinszasy do Mbandaki, by być razem z Konfratrami. Pierwszy raz, gdy przez równikową część kraju przechodziły uciekające wojska, jeszcze wtedy prezydenta Mobutu. Gdy Kabila zajął Kisangani, zdeorganizowane wojska rządowe rzuciły się do ucieczki. Małe grupy uciekinierów, każda na własną rękę, starały dostać się do Kinszasy, ale ponieważ musieli jakoś żyć (a przy okazji odłożyć coś niecoś na niepewną przyszłość), dopuszczały się one prawdziwych rozbojów na miejscowej ludności. Przy okazji uległy zniszczeniu liczne dzieła prowadzone przez Kościół szkoły, domy zakonne, plebanie, a nawet kościoły.



Przebywałem w Kinszasie, w czasie gdy fala uciekinierów zaczęła zbliżać się do regionu, w którym pracowali nasi Konfratrzy. Ponieważ żaden z nich nie chciał się ewakuować, postanowiłem jakoś do nich dojechać. Dowiedziałem się, że wyjeżdżający z Mbandaki misjonarze zamówili w Kinszasie prywatny samolot. Dostałem się na niego i byłem jedynym pasażerem, który wysiadł w Mbandace. Wywołało to spore zdziwienie, nie tylko wśród opuszczających ten region księży i siostr, ale również wśród obsługi lotniska.

Następne tygodnie były bardzo nerwowe. Miejscowa ludność bez przerwy sygnalizowała nam obecność grasujących po okolicy uzbrojonych uciekinierów. Jednym z najbardziej zagrożonych miejsc była misja w Iboko, gdzie pracował wtedy ks. Krzysztof Dończyk i ks. Henryk, podeszły w wieku i schorowany misjonarz z Belgii. Gdy zbliżali się uciekinierzy, wielokrotnie

opuszczali oni plebanie i chowali się w lesie. W sumie misja jednak nie ucierpiała, dzięki, jak uważa ks. Krzysztof, opiece Matki Bożej od Cudownego Medalika, której poświęcony był tamtejszy kościół oraz przebiegłości miejscowych ludzi, którzy na wszelkie sposoby zwodzili dezerterskich dopytujących się o misję.

W samym Bikoro również przeżyłem „wizytę” piętnastu uzbrojonych żołnierzy. Skończyło się jednak na strachu. Najeźdźcy zadowolili się kilkoma puszkami sardynek i kilkudziesięcioma litrami ropy do rozklekotanej terenówki, jaką się poruszali. Mogli zarekwirować znajdujące się wtedy na misji nasze i siostr szarytek samochody, nie mówiąc już o zapasach paliwa czy żywności.

Gdy sytuacja trochę się uspokoiła musiałem znowu udać się do Kinszasy na święcenia diakonatu jednego z naszych kleryków. Był to normalny rejsowy lot. Dwa tygodnie później dowiedziałem się, że oddziały Kabili bardzo szybko zbliżają się do naszego regionu. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, nie dlatego że groziła nam jakaś wojna (jak wspomniałem wojska Mobutu, poza kilkoma przypadkami, po prostu bez walki ustępowały terenu), ale dlatego że przed Kabila uciekały również tysiące Hutu z Rwandy. Jak wiadomo główny trzon oddziałów Kabili stanowili Tutsi, którzy po prostu polowali na tych pierwszych, mszcząc się za popełnione przez nich wcześniej zbrodnie w Rwandzie. Tak jak wspomniałeś, znowu zdecydowałem się na powrót do Konfratów w Bikoro. Przekonać żołnierzy żeby mnie ze sobą zabrali nie było wcale trudne. Załatwili mi to zairscy Konfratrzy, którzy ofiarowali pilotom małe „matabiszi”, czyli małą zapłatę i już miałem miejsce w samolocie.

Sam lot nie wydawał mi się zbyt niebezpieczny. Był to wprawdzie samolot wojskowy, ale wypełniony beczkami z paliwem i workami z ryżem, mąką i fasolą dla oddziałów, które

miały bronić Mbandaki. Po zjedzeniu szybkiego posiłku u Konfratrów pracujących w Mbandace, którzy pobieżnie przedstawili mi sytuację w mieście, niezwłocznie udałem się w drogę do Bikoro. Wtedy zacząłem się bać, bo już kilkanaście kilometrów od miasta, zaczęliśmy mijać zmierzające w stronę Bikoro większe i mniejsze grupy uchodźców Hutu. Wielu z nich ledwie trzymało się na nogach. W ich oczach widać było zmęczenie, głód i strach. Ale szli naprzód, a ci którzy już nie mogli dalej iść, odpoczywali obok drogi. Byli tak wyczerpani, że praktycznie nie reagowali na odgłos nadjeżdżającego samochodu. Niektórzy mężczyźni mieli ze sobą broń palną, granaty, a także maczety.

Na noc zatrzymaliśmy się na misji w Mooto. Gdy w końcu następnego dnia dotarliśmy do Bikoro, przed budynkami misyjnymi zobaczyłem morze rozłożonych prosto na trawie ludzi. Nikt ich nie liczył, ale było ich zapewne dwa albo trzy tysiące.

Wojna Kongijczyków przeciwko dyktatorowi Mobutu była jednocześnie wojną rwandyjskich Tutsi przeciw Hutu, przybyłych do Konga po ludobójstwie w 1994 roku. Ucieczka ludzi z plemienia Hutu przez połowę terytorium Konga, kończyła się dotarciem resztki ocalałych do Bikoro położonego nad jeziorem Tumba, gdzie znajduje się dom prowincjalny. Razem z innymi Konfratrami organizował ksiądz transport uciekinierów przez jezioro, aż do sąsiedniego Konga Brazzaville. To działanie ocaliło życie setek ludzi. Czy nie bał się ksiądz zemsty tych, którym zależało na wymordowaniu tych ludzi? Skąd wziął ksiądz wystarczającą ilość łodzi, aby zamierzenie mogło się powieść? Co stało się z uciekinierami, którzy dzięki księdzu ocalili?



Tych kilka dni pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Co dziwne, nie czułem strachu, ani nie myślałem o konsekwencjach. Po prostu trzeba było stawić czoła tragicznej sytuacji i wypełnić swój obowiązek. Pan Bóg dawał siłę, wspierali mnie Konfratry i paru ludzi z wioski. Reszta się nie liczyła. Widok głodnych i wycieńczonych do granic wytrzymałości ludzi, przede wszystkim kobiet i dzieci, dopingował do działania. Po krótkiej naradzie z przebywającymi na miejscu konfratrami (a obecni byli: ks. Wincenty, starszy i schorowany misjonarz z Belgii, ks. Józef, rodzimy Konfrater z kilkuletnim stażem kapłańskim i kleryk stażysta) doszedłem do wniosku, że przede wszystkim trzeba postarać się o jedzenie dla tych ludzi. Posłałem kilka osób do wioski, aby od miejscowych ludzi kupić wszystko, co tylko nadaje

się do jedzenia. Ponieważ było tego za mało, wysłałem misyjną ciężarówkę z kilkoma miejscowymi chłopakami, by w sąsiednich wioskach kupować co tylko się dało, maniok, kukurydzę, ryż, niesłodkie banany, bataty, a także suszone ryby, czy inne produkty.



Czekając na powrót ciężarówki, trzeba było ustalić jakiś plan działania. W tym celu skontaktowałem się z przedstawicielami wioskowej starszyny i miejscowymi gminnymi urzędnikami, a przynajmniej tymi, którzy jeszcze nie zdążyli uciec. Wszyscy byli bardzo wystraszeni zaistniałą sytuacją, jednak zdawali sobie sprawę z tego, że trzeba jakoś tym ludziom pomóc. Na szczęście zjawiał się młody lekarz z miejscowego szpitala i kilku nauczycieli, którzy zaofiarowali

swoją pomoc. W następnych dniach okazali się oni bardzo pożytecznymi współpracownikami. Podjęliśmy decyzję, by porozmawiać z przedstawicielami uchodźców, aby zapytać o ich plany i w jaki sposób możemy im pomóc. Wytypowali oni spośród siebie kilka osób, przedstawicieli różnych dystryktów Rwandy, miejsca zamieszkania uchodźców. Poprosili o żywność, pomoc lekarską dla najbardziej schorowanych oraz o ułatwienie im dalszej ucieczki, byle dalej od Mbandaki, i grożącego im niebezpieczeństwa. Bo jak już wspomniałem groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Tutsi, którzy towarzyszyli oddziałom Kabili, pałali żądzą zemsty na Hutu za zbrodnie, których ci ostatni dopuścili się kilka lat wcześniej w Rwandzie i w czasie, których zginęło ok. 800 tys. Tutsi.

Gdy kilka dni później doszły do nas wiadomości, że Mbandaka została zajęta przez wojska Kabili i kilkaset Hutu, którzy nie zdążyli uciec zostało zamordowanych, jeszcze bardziej uświadomiliśmy sobie że to samo może również powtórzyć się w Bikoro. Jedna ciężarówka z wojskiem w ciągu kilku godzin może dojechać do Bikoro i zrobić „porządek” z uchodźcami i tymi, którzy im pomagali. Po powrocie misyjnej ciężarówki z zakupioną żywnością, poprosiliśmy przedstawicieli uchodźców, by sami zajęli się podziałem tego co udało się zdobyć. Od razu, jak na zawołanie, na murawie pojawiły się małe ogniska i uchodźcy zabrali się do warzenia stawy. Następnego dnia i aż do końca ich pobytu w Bikoro, misja starała się zapewnić im żywienie, a ponieważ sam maniok i kukurydza nie wystarczały, zdecydowałem się zabić kilka krów i rozdawać mięso, szczególnie najmłodszym i najbardziej wycieńczonym. Gdy chodzi o chorych, zadbał o nich miejscowy lekarz, zapewniając potrzebującym podstawowe lekarstwa. Około trzydziestu najbardziej chorych i wymagających szczególnej opieki, znalazło miejsce w szpitalu. Niektórzy z nich byli w takim stanie, że sami nie mogli pokonać kilkuset metrów by dojść do szpitala, trzeba ich było nieść na

noszach. Kilkunastu z nich, przede wszystkim dzieci, niestety nie przeżyło, nie byli w stanie kontynuować dalszej drogi razem z innymi. Ale po kilku tygodniach, stanęli na nogach i ukryli się w sąsiednich wioskach.

Najważniejszą sprawą była ewakuacja tych wszystkich ludzi z Bikoro, gdzie w każdej chwili groziła im śmierć z rąk towarzyszącym oddziałom Kabili Tutsi. Sprawa nie była łatwa, bo droga kończyła się w Bikoro, położonym nad brzegiem rozległego jeziora. Bez znajomości terenu, było praktycznie niemożliwe by uchodźcy obeszlą jezioro i kontynuowali ucieczkę. Pozostała przeprawa przez jezioro, a do tego potrzebne były nie tylko małe łódki, które posiadali miejscowi rybacy, ale drewniane barki, przeznaczone do transportu towarów. Akurat w tym czasie znajdowały się w Bikoro dwie takie barki, które przyłynęły z Kinszasy, by skupować produkty rolne, które następnie sprzedawane były w stolicy. Zaczęliśmy rozmawiać z właścicielami, czy nie podjedliby się transportu uchodźców na drugą stronę jeziora (ok. 30 km od Bikoro). Po długich negocjacjach zgodzili się, pod warunkiem, że udostępnimy im potrzebnej do transportu benzyny. Na szczęście mieliśmy na misji trochę zapasów, więc bez wahania zgodziłem się na takie rozwiązanie.

Zacząły się więc przygotowania do pierwszego rejsu. Jedna barka mogła pomieścić od dwustu do dwustu pięćdziesięciu ludzi, zaś chętnych było co najmniej dziesięć razy więcej. Podejrzewaliśmy, że wszyscy na siłę będą starać się dostać do łodzi, co może skompromitować całe przedsięwzięcie. Dlatego ustawiliśmy ludzi ok. kilometra od portu, prosząc by gęsiego zbliżali się do jeziora. Miejscowy lekarz, o którego pomocy w tych ciężkich dniach już wspominałem, znowu okazał się bardzo przydatny. Po prostu zwerbował kilku zaufanych chłopaków z wioski, dał im broń (którą można było w tym czasie zbierać w



lesie, po prostu tak jak zbiera się grzyby, i poprosił by pilnowali porządku. Widok uzbrojonych ludzi podziałał tak, że bronni, Bogu dzięki, nie trzeba było używać. Gdy ludzie wsiadali do łodzi, nasi dzielni chłopacy przeprowadzali rewizję (niektórzy mieli ze sobą granaty, a nawet broń palną, której oczywiście nie mogli ze sobą zabierać, bo mogło to narazić na niebezpieczeństwo nie tylko ich samych, ale również ob- sługujących barkę). Po wysadzeniu ludzi po drugiej stronie jeziora, barki wróciły następnego ranka, by przetransportować następnych oczekujących na przeprawę. Jednak właściciel jednej z nich powiedział mi, że się boi i już nie wróci do Bikoro, by zabrać pozostałych. Wolał poczekać na rozwój sytuacji w jakiejś spokojnej wiosce po drugiej stronie jeziora. Właściciel drugiej barki, widząc moją troskę o tych, którzy jeszcze czekali na transport, zgodził się odbyć jeszcze

trzecią podróż, ale i on zamierzał następnie poczekać gdzieś na lepsze czasy. Pozostali, w sumie kilkaset osób, nie mogli już liczyć na przeprawę przez jezioro. Nie pozostało im nic innego jak próbować obejść jezioro. Kilku mieszkańców Bikoro zaproponowało, że pokażą im drogę. I tak się stało.

Po tygodniu od przybycia uchodźców do Bikoro, pozostało tylko kilku chorych w szpitalu. Mogliśmy odetchnąć z ulgą. Większość uchodźców, kilka miesięcy później, odnalazła się po drugiej stronie rzeki Kongo, już w innym państwie, Republice Kongo, której stolicą jest Brazzaville. Organizacje humanitarne założyły tam prowizoryczny obóz dla uchodźców, w którym pracowały również Siostry Miłosierdzia dojeżdżające z naszego Konga.

Nie wszyscy jednak dotarli za rzekę. Część z nich, szczególnie kobiety z małymi dziećmi, pozostali w okolicach Bikoro. Kilka miesięcy później, z pomocą organizacji humanitarnych oraz naszej współpracy, kilkudziesięciu z nich zdecydowało się na powrót do Rwandy. Znamienne było to, że wśród powracających nie było ani jednego mężczyzny. Tylko kobiety i małe dzieci.

W czasie działań wojennych ciążyła na księdzu, jako przełożonym całej Prowincji wielka odpowiedzialność. Niektóre Zgromadzenia, zwłaszcza żeńskie, również biskup diecezji, gdzie pracowali Konfratry, ewakuowali się do sąsiedniego kraju. Ksiądz pozostawił Konfratom decyzję o ewakuacji lub pozostaniu. Wybrali pozostanie na miejscu. Opatrzność Boża sprawiła, że żaden z nich nie ucierpiał, mimo że wielu przeżyło chwile grozy. Ostatecznie nie ponieśli oni dużych strat materialnych. Jak patrzy ksiądz dzisiaj na ten okres?

Rzeczywiście nie podjąłem decyzji o generalnej ewakuacji wszystkich Konfratrów. Jednak przed nadejściem całej tej zawieruchy, osobiście (konkretnie za pomocą radia), rozmawiałem z każdym Konfratem proponując, a nawet zachęcając do ewakuacji. Żaden z nich nie wyraził chęci wyjazdu. Wtedy właśnie zdecydowałem się dostać za wszelką cenę z Kinszasy do regionu ich pracy, o czym już wcześniej mówiłem. Opatrzność Boża, na którą powoływali się Konfratry, motywując ich chęć zostania na miejscu sprawiła, że nikt nie ucierpiał, i nasze misje, w przeciwieństwie do wielu innych parafii i domów zakonnych w tym regionie, uniknęły wszelkich strat materialnych.

Konfratry rzeczywiście przeżyli chwile grozy. Wspominałem już o ks. Krzysztofie Dończyku i przebywającym z nim w Iboko, ks. Henryku, starszym Konfratrze belgijskim, którzy przez kilka tygodni chowali się w specjalnie przygotowanej kryjówce w lesie. Ciężkie chwile przeżył również ks. Stefan Kosek, który, by nie dopuścić do zarekwirowania samochodu misyjnego przez oddziały Kabili, osobiście, przez całe popołudnie i dużą część nocy podwoził napastników w stronę Mbandaki. Później opowiadał mi, że był świadkiem jak ci „żołnierze” dokonywali egzekucji na napotkanych po drodze uciekinierach Hutu. Co wtedy przeżywał, on sam tylko o tym wie. Jednak nad ranem, wycieńczony, ale cały, wrócił samochodem do domu.

Osobiście w Bikoro też przeżyłem „wizytę” uciekających przed walką z Kabilą żołnierzy Mobutu. Któregoś dnia, na misję przyjechał rozklekotany dżip, z którego wyskoczyło kilkunastu uzbrojonych żołnierzy. Z karabinami w rękach otoczyli nasz dom, chcieli rozmawiać z przełożonym. Kiedy do nich wyszedłem, ich dowódca powiedział, że są głodni. Na to zaprosiłem go do salonu mówiąc, żeby trochę poczekał, a przygotowujemy im coś do

zjedzenia. Gdy już pojedli, zażądał jeszcze paliwa do samochodu, a wyjeżdżając powiedział, że mieli zamiar obrabować misję, ale ponieważ „po dobroci” dostali jedzenie i paliwo, to zadowolili się tym, co im ofiarowaliśmy. Nie wiem czy to nasza postawa skłoniła ich do zmiany pierwotnych zamiarów, czy wpłynęła na to obecność kilkudziesięciu mieszkańców wioski, którzy na wieść o tym, że misję zaatakowali żołnierze, zaczęli się gromadzić w naszym sąsiedztwie i po prostu stali patrząc, co z tego wyniknie.



Jakiś czas później, chwile grozy przeżyli również księża Bogdan Mordal i Władysław Krzywda, kiedy Bolobo zostało formalnie zaatakowane przez dawnych żołnierzy Mobutu. Po prostu przepłynęli oni rzekę Kongo, gdzie, już w innym kraju, od upadku Mobutu się chronili i zbrojnie zaatakowali kilkutysięczne Bolobo. Stało się to w niedzielę, gdy księża razem z wiernymi byli w kościele na Mszy św. Napastnicy zakwaterowali się na misji na kilka dni. Potem zastąpili ich rządowi żołnierze, którzy przybyli z

Kinszasy by odbić miasteczko. Kilkunastu mieszkańców padło ofiarą tej lokalnej wojny. Zaś zarekwirowany przez rządowych żołnierzy samochód misyjny, po akcji praktycznie już nie nadawał się do użytku.

Trudno mi ocenić, czy moja decyzja była słuszna. Mogłem wymusić na Konfratrach ewakuację obsługiwanych misji. Uszanowałem jednak to, co zgodnie proponowali. Pan Bóg nas uchronił od najgorszego. Gdyby jednak któremuś z nas coś się stało, pewnie nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Przez pewien czas był ksiądz Wikariuszem Generalnym diecezji Mbandaka-Bikoro. Można powiedzieć, prawą ręką biskupa Fryderyka Etsou, późniejszego biskupa w stolicy i kardynała. Jakie wspomnienia zachował ksiądz z tego czasu? Jak układała się współpraca z biskupem i klerem diecezjalnym?

Kardynał Etsou został biskupem koadiutorem diecezji Mbandaka-Bikoro kilka miesięcy przed naszym przyjazdem do Bikoro. Od samego początku bardzo interesował się młodymi misjonarzami z Polski, i starał się jak tylko mógł, by ułatwić nam wejście w miejscowe duszpasterstwo, odmienne od tego, które znaliśmy w Polsce. Osobiście przez pierwszych kilka lat miałem okazje spotykać go bardzo często. Po prostu, byłem proboszczem w Mooto, misji oddalonej tylko o 80 km od Mbandaki. Biskup regularnie przyjeżdżał do Mooto, by zobaczyć jak sobie radzimy. Często wieczorem, w towarzystwie miejscowych myśliwych, szedł do lasu na polowanie. Zaś następnego dnia, po Mszy św. i spotkaniu z wiernymi, wracał do siebie. Wspominam o tym, by podkreślić, że był bardzo zwyczajnym biskupem, który utrzymywał przyjacielskie relacje ze swoimi księżmi, nawet takimi żółtodziobami jak wtedy byliśmy. Równocześnie posiadał

on cechy tradycyjnego afrykańskiego szefa, który lubi pokazać, kto tu rządzi i tylko w wyjątkowych sytuacjach pyta się o zdanie innych. Moja nominacja na Wikariusza Generalnego dla Bikoro nie zmieniła charakteru moich przyjacielskich relacji z biskupem. Może tylko częściej dzielił się ze mną swoimi troskami i problemami. Jednak nie tyle dlatego, że chciał poznać moje zdanie na dany temat, ale po prostu po to, że potrzebował przed kimś się wygadać.

Jako szef sam podejmował większość decyzji. A ponieważ w każdej diecezji potrzebny był Wikariusz Generalny, więc mianował Wikariusza, trzeba było różnych Komisji Diecezjalnych, więc mianował członków tych Komisji.

Współpraca z księżmi diecezjalnymi dopiero się wtedy zaczynała. Tak na dobre, dopiero wraz z przybyciem do Mbandaki biskupa Fryderyka Etsou, zaczęła się zwiększać liczba seminarzystów i nowo wyświęconych księży. Poza tym w pierwszych latach pracowali oni pod okiem biskupa w Mbandace. Dopiero później zaczęły się nominacje miejscowych księży w parafiach dawnej diecezji Bikoro, czy w terenach tradycyjnie obsługiwanych przez Konfratrów.

Pomimo dobrej współpracy, nie udało się zawrzeć przełożonym zgromadzenia z biskupem Etsou, ani z jego następcą, umowy pomiędzy zgromadzeniem a diecezją, która regulowałaby problem własności. Wiemy, że z tego powodu Zgromadzenie Michaelitów, pomimo wspaniałych osiągnięć w pracy misyjnej, wycofało się całkowicie z Konga.

Dlaczego, pomimo tak dużego wkładu w rozwój Kościoła lokalnego, zgromadzenie stworzyło praktycznie od podstaw całą diecezję – biskup nie zechciał uregulować problemu, który do dzisiejszego

dnia kładzie się cieniem na współpracę zgromadzenia z biskupem?

Wydaje mi się, że zgromadzenie powinno te sprawy uregulować już w latach 60-tych, kiedy biskupem Bikoro był misjonarz. Wtedy jednak o tym nie pomyślano, uważając zapewne, że nie ma jeszcze takiej potrzeby. W całej diecezji pracowali wyłącznie sami Misjonarze i wydawało się, że taka sytuacja potrwa jeszcze wiele lat. W praktyce to biskup był przełożonym Misjonarzy i nie było potrzeby prawnego podziału własności między zgromadzeniem a diecezją.



Taka potrzeba pojawiła się, kiedy biskup podupadł na zdrowiu i zaczął myśleć o opuszczeniu diecezji i powrocie do Belgii. Wtedy jednak zaczęła się zmniejszać liczba Konfratrów i nie było jeszcze widoków, ani na miejscowe powołania, ani na pomoc personalną innych prowincji (decyzja o przyjeździe Polaków została podjęta kilka lat później). Ta sytuacja doprowadziła Konfratrów do tego, że po pierwsze, zaproponowali

przyłączenie diecezji Bikoro do sąsiadującej archidiecezji Mbandaka, a po drugie, nie widząc wielkiej przyszłości dla zgromadzenia w Kongo, zatrzymali dla siebie na własność jedynie misje w Iboko, zobowiązując się równocześnie że będą obsługiwać, dokąd to będzie możliwe, inne placówki.

Z biegiem czasu sytuacja radykalnie się zmieniała i zgromadzenie, które już na dobre zapuściło swoje korzenie w Kongo, zaczęło rozumieć, że nie może zależeć tylko od dobrej woli biskupa, ale musi posiadać również swoje własne domy. Dzięki wielkiemu wysiłkowi finansowemu, powstały więc takie domy w Kinszasie i Mbandace. Jednak wielokrotnie podejmowane rozmowy z biskupem, by przekazał zgromadzeniu na własność przynajmniej jedną z założonych przez Misjonarzy placówek, nie przyniosły żadnego rezultatu.



Dlaczego? Trudno dokładnie powiedzieć. Wydaje mi się jednak, że taka była ogólna linia biskupów Konga. Uważali, że sami nie mogą poradzić sobie ze wszystkimi problemami materialnymi, zaś zgromadzenia międzynarodowe, mając oparcie za granicą i tak sobie poradzą.

Kongo (Zair) posiada wiele bogactw naturalnych, dzięki którym powinno być krajem dobrze prosperującym. Niestety jest też krajem, w którym nędza większości mieszkańców jest widoczna gołym okiem. Niektórzy uważają, że pomimo niepodległości, kraj pogrąża się w coraz większej biedzie i chaosie. Czy jest to prawda i jakie są tego przyczyny? Zewnętrzne, czy raczej wewnętrzne?

Wielu specjalistów od długiego czasu zastanawia się na tym temacie, i jakoś nie mogą znaleźć adekwatnych odpowiedzi i zaproponować odpowiednich do tej sytuacji rozwiązań. Ja za żadnego specjalistę się nie uważam, i to co powiem wynika tylko z moich przemyśleń, które na pewno nie są jedyną i kompletną oceną sytuacji, i z którymi można się zgadzać albo nie.

Kongo rzeczywiście posiada wiele bogactw naturalnych, jednak mieszkańcy nie potrafią z nich należycie korzystać. Po pierwsze, nie opanowali oni sposobów wydobycia i obróbki bogactw mineralnych, a gdy chodzi o produkty roślinne (jak kawa, bawełna czy kakao), nie wypracowali odpowiednich sposobów uprawy, ani też ich przetworzenia, aby uprawa była rzeczywiście opłacalna. Po drugie, nie potrafią należycie bronić swoich interesów wobec zagranicznych przedsiębiorstw, które dbając tylko o swoje interesy, w sposób rabunkowy eksploatują złoża mineralne i zamieniają w pustynie lasy i tereny uprawne. Cóż znaczą prości wieśniacy, wobec potężnych koncernów międzynarodowych? Co najwyżej mogą zarobić kilka groszy,

ofiarując swoją tanią siłą roboczą. A co robią władze? Władza bardzo często jest słaba i skorumpowana i nie za bardzo panuje nad sytuacją. Czyż nie jest zastanawiające, że tam gdzie znajdują się bogate złoża mineralne, albo bogate zasoby naturalne, bardzo często wybuchają zamieszki, rewolucje i wojny? Wydaje mi się że wiele międzynarodowych koncernów nie ma większych skrupułów, aby sprowokować „zadymę”, tam gdzie można na czymś zarobić. Władze nie panują nad sytuacją albo „przymykają oczy”, oczywiście nie bezinteresownie, a koncerny prowadzą swoje interesy, praktycznie bez żadnych zobowiązań, zarówno dla kraju, jak i dla miejscowej ludności.

Bieda mieszkańców Kongo (i w zasadzie całej Afryki) w dużej mierze wynika z przyczyn zewnętrznych. Wygrywiają silniejsi i jest rzeczą jasną, że nie są to Kongijczycy.

Istnieją jednak również przyczyny wewnętrzne. Po prostu nie można w ciągu kilku pokoleń dokonać takiego „skoku cywilizacyjnego”, do którego Europa i ludy należące do, umownie mówiąc, kultury „zachodniej”, potrzebowały setek lat. Kultura zachodnia i jej bogactwa olśniewają Afrykańczyka i sprawiają, że chciałby on wszystko i od razu mieć. Rozwój cywilizacyjny i materialny nie dokonuje się jednak z dnia na dzień. Trzeba wiele wysiłku i czasu. Niektórzy zaczynają to rozumieć i mam nadzieję, że z upływem lat oraz z realną pomocą świata zachodniego, będzie ich coraz więcej.

Misjonarze włączali się w różnego rodzaju dzieła na rzecz rozwoju kraju. Był Ksiądz inicjatorem powstania Ośrodka Rozwoju Rolnictwa w Mooto. Jak Ksiądz ocenia tę działalność i które dzieła na rzecz rozwoju były najskuteczniejsze? Wiele z nich nie przetrwało próby czasu. Dlaczego?



Byłem raczej współinicjatorem tego ośrodka. Pomysł narodził się w ruchu Bilenge ya Mwindi czyli „Młodzież Światła”, którym opiekował się wtedy jeszcze brat Theo (który kilka lat później odbył studia teologiczne w Belgii i został wyświęcony na kapłana). Ruch ten charakteryzował się dość intensywną formacją chrześcijańską, która miała prowadzić młodych do konkretnego zaangażowania w Kościele i społeczeństwie. Kilku młodych, należących do tego ruchu, postanowiło utworzyć wspólnotę, której celem miało być wprowadzanie nowych metod uprawy ziemi i hodowli zwierząt, aby młodzi znaleźli odpowiednie i dochodowe zajęcie na miejscu, a nie myśleli tylko o ucieczce z wioski do miasta.

W Bikoro wszystkie tereny rolnicze były już zajęte. Dlatego zaczęliśmy szukać w okolicach, położonej o 40 km od Bikoro, wioski Mooto. Już wtedy byłem odpowiedzialny za parafię w

Mooto, więc w naturalny sposób włączyłem się do tego projektu. Udało nam się również zainteresować tą sprawą biskupa Mbandaki Etsou, który objął projekt swoim patronatem i podjął się negocjacji z mieszkańcami Mooto, by przekazali na rzecz przyszłego ośrodka kilkadziesiąt hektarów lasu, położonego niecałe cztery kilometry od zabudowań parafii.

No i się zaczęło. Sami mieszkańcy wioski, bardzo zainteresowani tym projektem, rozpoczęli karczowanie lasu pod przyszłe pierwsze uprawy i przede wszystkim pod przyszłe osiedle, w którym mieli zamieszkać w przyszłości mieszkańcy wspólnoty. Czasem, gdy miałem trochę czasu, pomagałem im w tej pracy.



Po upływie kilku miesięcy, powstało kilka domów, zbudowanych po afrykańsku, z dostępnych na miejscu

materiałów, czyli z drewnianych pali, służących za konstrukcję nośną, zwykłej gliny i liści specjalnego gatunku palmy, które służyły za dach. W obozie zamieszkało pięć młodych małżeństw, które zabrały się do pracy. Ponieważ chodziło o wprowadzanie nowych sposobów uprawy ziemi i hodowli, wkrótce dołączyło do nich młode małżeństwo wolontariuszy z Belgii, które miało im pomagać.

Projekt zaczął się szybko rozwijać, dzięki zaangażowaniu tych młodych ludzi oraz finansowemu wsparciu organizacji popierających rozwój rolnictwa w Afryce. Zakupiono traktor, prądnicę, młyn do kukurydzy i maszynę do czyszczenia ryżu itp. Członkowie wspólnoty odwiedzali sąsiednie wioski, by promować nowe uprawy, np. ryżu górskiego, czy proponować rotacje upraw, aby zapobiec wyjałowieniu ziemi.

Z czasem entuzjazm zaczął słabnąć, a gdy po sześciu latach belgijscy wolontariusze wrócili do Belgii, aby ich dzieci mogły tam chodzić do szkoły, zaś ich następcy za bardzo się nie sprawdzili, biskup powierzył ośrodek miejscowemu Zgromadzeniu Braci Zakonnych, którzy nie mieli odpowiedniego przygotowania do jego prowadzenia. Początkowa ekipa zaczęła się wykruszać, co doprowadziło do stopniowego upadku ośrodka. Włożony wysiłek nie poszedł całkiem na marne, ale można się było spodziewać jeszcze lepszych rezultatów. Wspomniałem już, że nie można dokonać wielkiego skoku cywilizacyjnego w krótkim czasie. Niestety nie potrafiliśmy, przez o wiele dłuższy czas, zapewnić odpowiedniego wsparcia dla tego projektu.

W Kongo obecnie istnieją różne gałęzie Rodziny Wincentyńskiej. Siostry Miłosierdzia przyjechały do Konga już w 1926 roku. Są też obecni Zakonnicy Świętego Wincentego, a także stowarzyszenia świeckie: AIC, SSVP, AMM, JMV. Będąc jeszcze

wizytatorem, a później, proboszczem parafii św. Adriana w Kinszasie, przyczynił się Ksiądz do rozwoju działalności świeckich gałęzi Rodziny Wincentyńskiej. Był Ksiądz pierwszym dyrektorem krajowym Młodzieży Wincentyńskiej i Stowarzyszenia Cudownego Medalika.

Jak Ksiądz wspomina tę rolę koordynatora działalności poszczególnych gałęzi, jako jednej rodziny? Czy udało się podjąć realizację jakiegoś konkretnego projektu, w który byłaby zaangażowana cała Rodzina Wincentyńska?

Rzeczywiście, będąc wizytatorem, co zmuszało mnie do częstych wizyt w Kinszasie, a później proboszczem parafii św. Adriana, przyszło mi pracować ze świeckimi gałęziami Rodziny Wincentyńskiej i w pewnym stopniu przyczynić się do ich rozwoju, szczególnie w Kinszasie. Było to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie pracy z ludźmi, którzy stopniowo odkrywając św. Wincentego i jego duchowość, z wielkim entuzjazmem próbowali na swój sposób pomagać biedniejszym od siebie.

Jak większość z nas wiedziałem, że takie stowarzyszenia wincentyńskie istnieją, ale nigdy wcześniej osobiście się z nimi nie spotkałem. Musiałem więc zacząć od poznawania ich poprzez lekturę i korespondencję, a później przez osobisty kontakt z istniejącymi w innych miejscach grupami, by móc następnie formować innych. Była to żmudna praca budowania fundamentów.

Z natury poszczególnych gałęzi Rodziny Wincentyńskiej wynikało, że najwięcej angażowałem się w prace ze Stowarzyszeniem Cudownego Medalika i Młodzieży Wincentyńskiej. W stosunku do dwóch pozostałych, które

posiadały własny zarząd, pełniłem jedynie rolę doradcy. Największym moim staraniem było to, by wszystkie te świeckie stowarzyszenia, a również zgromadzenia zakonne wywodzące się od św. Wincentego albo inspirowane jego duchowością (w Kinszasie, poza Misjonarzami, Siostrami Miłosierdzia i zakonnikami św. Wincentego, było jeszcze kilka innych) czuły się rzeczywiście jedną wielką Rodziną. Do tego służyły wspólne spotkania formacyjne i wspólne obchody święta św. Wincentego. Z pomocą zgromadzenia i przyjaciół z zagranicy, udało mi się zakupić w sąsiedztwie parafii św. Adriana dom, który miał się stać centrum Rodziny Wincentyńskiej, nie tylko dla samej Kinszasy, ale i dla całego Konga.

Poszczególne stowarzyszenia posiadały swoje autonomię, i tak jak potrafiły, troszczyły się o ubogich: odwiedzały chorych w domach i szpitalach, odwiedzały więźniów, często dostarczając im ubranie, lekarstwa i jedzenie, wspierały rodziców, by opłacić szkołę swoim dzieciom itp.



W ostatnim roku mojej pracy w Kinszasie, zaczęliśmy się przygotowywać do wspólnego projektu rolniczego, by samemu uprawiać podstawowe produkty rolne dla coraz liczniejszej rzeszy głodujących, czy niedojadających biednych dzieci. W okolicach Kinszasy znaleźliśmy odpowiedni teren, który zamierzaliśmy wynająć i na nim pracować. Gdy jednak zostałem zamianowany do Bolobo, zabrakło koordynatora, który potrafiłby doprowadzić ten projekt do realizacji.

Misja Kongijska Zgromadzenia Księża Misjonarzy była przez ponad 50 lat wyłącznie domeną misjonarzy z zewnątrz. Pierwsi Kon- fratrzy Kongijczycy pojawili się dopiero po przyjeździe polskich misjonarzy. W 1986 r. miały miejsce pierwsze święcenia kapłańskie. Powszechnie wiadomo, że był Ksiądz tym, który przekonał misjonarzy innych narodowości do przyjmowania Kongijczyków do zgromadzenia i rozpoczęcia formacji.

Jak to się stało, że przez 50 lat Misjonarze nie przyjęli ani jednego kandydata tubylczego? Co zadecydowało o tym, że sytuacja radykalnie się zmieniła, kiedy podjął Ksiądz starania o rozpoczęcie formacji kandydatów tubylczych?

Na początek muszę sprostować, że nie byłem tym, który przekonywał Konfratrów do rozpoczęcia formacji, ale jednym z tych, którzy dali się przekonać do podjęcia tego zadania. Przekonywali nas do tego nasi ówczesni przełożeni. Między innymi należy tutaj wymienić śp. Floriana Kapuściaka, ówczesnego Asystenta Generalnego od Misji, czy śp. Karola Gielena, ówczesnego wizytatora Prowincji Belgijskiej. Pierwszy, podczas jednej ze swoich wizyt w Bikoro, zasiał ziarno, zaś drugi, w czasie swoich corocznych wizyt, drażył ten temat, aż doprowadził do podjęcia konkretnych decyzji odnośnie formacji

przyszłych kandydatów, którzy zaczęli wyrażać chęć zostania misjonarzami.

Trzeba pamiętać, że mieliśmy już wtedy biskupa Etsou, który po- trafił entuzjasmować młodych i zachęcać ich do podjęcia formacji kapłańskiej czy też zakonnej.

Gdy pod koniec lat 50-tych Bikoro stało się siedzibą biskupa, jedną z pierwszych jego decyzji było utworzenie Małego Seminarium. Spora liczba młodych przewinęła się przez to seminarium, ale tylko nieliczni zdecydowali się do wstąpienia do Wyższego Seminarium Diecezjalnego. Wśród nich było również co najmniej dwóch kandydatów do zgromadzenia. Niestety nie ukończyli oni formacji, podobnie zresztą jak kandydaci, którzy wstąpili do Seminarium Diecezjalnego. Dlaczego tak się stało? Trudno powiedzieć. Pewnie nie nadszedł jesz- cze odpowiedni czas, by zbierać owoce podjętych wysiłków. A może Pan chciał zobaczyć, czy misjonarze naprawdę są gotowi na przyjęcie do swoich szeregów miejscowych kandydatów.

Kiedy rozpoczęto przyjmować miejscowych kandydatów do zgromadzenia pojawił się problem ich należytej formacji. Podczas gdy pełnił Ksiądz urząd wizytatora powstała idea otwarcia własnego Instytutu Teologicznego. Nasi studenci studiowali wtedy w Wyższym Seminarium Międzyzakonnym. Niestety projekt nie został zrealizowany. Co lub kto zawinił?

Napływ miejscowych kandydatów do zgromadzenia w Kongo zbiegł się czasowo z pojawieniem się misjonarskich kandydatów w kilku innych krajach afrykańskich, jak np. w Nigerii, Kamerunie i Mozambiku. Jedynie w Etiopii i na Madagaskarze ten proces rozpoczął się trochę wcześniej. W

wymienionych wcześniej krajach zgromadzenie stanęło przed wielkim wyzwaniem, stworzenia odpowiednich struktur do należytej formacji kandydatów. I wtedy pojawił się pomysł by utworzyć takie struktury wspólnie, a konkretnie, by Misjonarski Instytut Teologiczny dla Afryki powstał w Kinszasie. W tym celu w 1994 roku odbyło się w Kinszasie Zebranie COVIAM (przełożonych Prowincji i Misji Zgromadzenia obecnych w Afryce), w którym uczestniczył również Przełożony Generalny Robert Maloney. Okazało się, że tym projektem zainteresowani byli przede wszystkim Konfratrzy z Kamerunu i z Mozambiku. Ci z Nigerii nie wykluczali go całkowicie, ale tak do końca nie byli do niego przekonani, a wynikało to zwłaszcza z kwestii językowych. Zaś Madagaskar i Etiopia, które w międzyczasie utworzyły już własne struktury formacyjne, nie wykazywały wielkiego zainteresowania. Projektem utworzenia Instytutu zainteresowanych było jeszcze kilka innych zgromadzeń obecnych w Kinszasie, które obiecywały swoją pomoc.



Następnego roku, z inicjatywy Przełożonego Generalnego, odbyło się w Paryżu spotkanie przedstawicieli zainteresowanych tym projektem Prowincji i Misji, czyli Kamerunu, Mozambiku, Nigerii i oczywiście Konga. Konkluzją tego spotkania było to, że należy poczekać na rozwój sytuacji w Kongo. Bo już wtedy na wschodzie kraju, pod wodzą Kabili, rozpoczęła się wojna, mająca na celu obalenie reżimu Mobutu. Osobiście byłem zdania, że mimo wszystko należy rozpocząć prace budowlane (mieliśmy już plany i ogrodzony teren w sąsiedztwie naszego seminarium w Kinszasie, a nawet rozpoczęliśmy zbieranie funduszy na ten cel). Przełożony Generalny zdecydował jednak, by poczekać, co z tego wyniknie. Jednak zainteresowane Prowincje nie mogły czekać i zabrały się do tworzenia swoich własnych struktur. Gdy po kilku latach sytuacja w Kongo się uspokoiła, nie było już chętnych do inwestowania w ten projekt. Szkoda.

Trochę później pomysł wspólnej formacji powrócił w innej formie, chodziło o stworzenie wspólnego Seminarium Internum, tym razem w Kamerunie. Popierałem ten projekt, bo uważałem, że wspólnie z innymi będziemy w stanie lepiej niż my sami zapewnić należytą formację naszym kandydatom. Wszystko było już gotowe do rozpoczęcia wspólnego dla Kamerunu, Nigerii i Konga, Seminarium Internum. Jednak mój następca, w ostatniej dosłownie chwili, wycofał się z tego pomysłu. Na pewno miał ku temu swoje powody, szczególnie finansowe, ale mimo to żałuję, że tak się stało.

W kontekście formacji dały znać o sobie dwie opcje: przyjazd nowych misjonarzy, zwłaszcza mających doświadczenie w formacji lub jak najszybsze wykształcenie konfratrów kongijskich, aby wzięli odpowiedzialność za formację. Wydaje się, że to ta druga opcja się przyjęła. Czy nie było błędem mianowanie odpowiedzialnymi za domy formacji

konfratrów nie mających odpowiedniego doświadczenia? Czy nie byłoby lepszym rozwiązaniem zwiększenie liczby misjonarzy do czasu, aż młodzi konfratryzanci wypracują u boku starszych konfratrów pewien styl życia i pracy, który byłby jednocześnie afrykański i wincentyński? Pojawia się bowiem zarzut, że przyjęte rozwiązanie, doprowadziło do przyjęcia stylu afrykańskiego, ale niekoniecznie wincentyńskiego. Czy zgadza się ksiądz z taką opinią?



Od czasu, gdy zostałem Przełożonym Prowincjalnym oraz przez wszystkie następne lata, wielokrotnie, listownie i osobiście, prosiłem Przełożonego Generalnego o nowych misjonarzy, szczególnie takich, którzy mieli doświadczenie w formacji i którzy mogliby nam pomóc w tym bardzo odpowiedzialnym dziele, jakim była formacja kandydatów do Zgromadzenia. Zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że ani starsi misjonarze, ani młodzi dopiero rozpoczynający pracę kapłańską miejscowi konfratryzanci, nie mają do tej misji odpowiedniego przygotowania i doświadczenia. Może za mało nalegałem, może nie potrafiłem odpowiednio przedstawić naszych realnych potrzeb w tej dziedzinie, może zamiast oczekiwać rozwiązania tego problemu przez Kurie Generalną (choć wielokrotnie w czasie Konwentów Generalnych, czy innych międzynarodowych spotkań, poruszałem tę sprawę na szerszym forum), w każdym bądź razie, Kuria Generalna nie pomogła nam w taki sposób jak byśmy sobie tego życzyli.

Zrodził się wtedy inny pomysł, o którym już mówiłem: wspólna formacja kandydatów misjonarskich w Afryce. Mocno się w tę dziedzinę zaangażowałem, ale niestety i ten projekt nie wypalił. Wygrała z konieczności druga opcja. Zdaję sobie sprawę z tego, że „na siłę” mógłbym trochę opóźnić przekazywanie odpowiedzialności za formacje młodym konfratrom kongijskim. Jednak takie rozwiązanie „siłowe”, na które nie zgadzała się również Rada Prowincjalna, tak czy inaczej byłoby tylko rozwiązaniem krótkotrwałym, które mogłoby jeszcze bardziej spotęgować napięcia między starszymi i młodszymi konfratrami. Co do ostatecznego członu pytania, powiem tylko, że miejscowi konfratryzanci nie mają łatwego zadania. Są spadkobiercami pewnej tradycji misjonarskiej, z którą do końca nie mogą się utożsamiać, dlatego że została ona stworzona przez ludzi białych (*mindele*), a oni białymi nie są i nie mogą zachowywać się jak *mindele*, czego współrodacy by im nie wybaczyli. Muszą więc znaleźć swój własny styl, a ponieważ nie mają za bardzo na czym się wzorować, popełniają błędy. Nie chcę przez to powiedzieć, że są same błędy, ale niewątpliwie były i są również pomyłki i błędy. Czyż jednak człowiek na nich się nie uczy?

Inne Zgromadzenia i Zakony znalazły się w podobnej sytuacji. Niektórzy porównują rozwiązanie przyjęte przez te wspólnoty do sytuacji, kiedy Kongo odzyskiwało niepodległość. Wtedy Kongijczycy z dnia na dzień stali się właścicielami i zarządcami ich kraju. Stali się nimi bez należytego przygotowania, niedojrzali do podjęcia odpowiedzialności za przyszłość ich ojczyzny. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Dzisiaj ci, którzy pamiętają czasy kolonialne zaświadczenia, że żyło im się lepiej, niż teraz 50 lat po odzyskaniu niepodległości. Czy coś analogicznego nie stanie się lub już się nie stało w

przypadku wspólnot zakonnych, w tym w Zgromadzeniu Misji?



Uważałem i nadal uważam, że Kościół Katolicki w Kongo (jak również w innych krajach afrykańskich i nie tylko), jak również Zgromadzenie Misji i inne Zgromadzenia i Zakony, muszą wypracować swój własny styl, zgodny z miejscową kulturą i dostosowany do miejscowych warunków, bez utraty tego co stanowi o istocie, charyzmacie Zgromadzenia. Charyzmat musi być zakorzeniony, inkarnowany w konkretnym miejscu i kulturze. Wyzwanie, które ciągle jeszcze stoi przed konfratrami kongijskimi, to

pogłębianie charyzmatu wincentyńskiego i poszukiwanie form jego inkarnacji w tamtejszych warunkach i kulturze. Podczas naszej obecności w Kongo staraliśmy się pokazać, każdy na swój sposób, jak rozumiemy i realizujemy ten charyzmat. Mimo najlepszych chęci i wysiłków, by jak najbardziej przystosować się do tamtejszych warunków, robiliśmy to jako „ludzie innej kultury”. Teraz konfratryzmy kongijskie, jako Afrykańczycy, muszą podejmować i realizować to wyzwanie.

Lata 1990-2005 to lata wycofania się wielu misjonarzy. Niektórych do wyjazdu zmusił wiek, kilku choroba. Niemniej jednak wielu wyjechało będąc w sile wieku i posiadając bogate doświadczenie pracy

misyjnej. Jakie były tego przyczyny? Czy praca misyjna się skończyła? Może zawinił czynnik ludzki? Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wielu chrześcijan jeszcze dzisiaj może uczestniczyć we Mszy Świętej raz na miesiąc, raz na dwa a nawet sześć miesięcy, nasuwa się konkluzja, że pracy dla misjonarzy jest nadal bardzo dużo.

Oczywiście pracy jest nadal bardzo dużo i bardzo wielu wiernych, szczególnie w wioskach oddalonych od centrum parafii, może uczestniczyć we Mszy św. najwyżej kilka razy w roku. Wydaje mi się, że wielu misjonarzy już od początku zakładało, że nie jedzie do Afryki na całe życie. I w wieku czterdziestu, czterdziestu pięciu lat, zaczęli sobie zdawać sprawę, że jeżeli myślą o powrocie, to nie ma co długo czekać, bo później już do niczego nie będą się nadawali. Decyzję o wyjeździe ułatwiał fakt, że nie zostawiali parafii bez księdza. Była już spora gromada młodych konfratrów, którzy lepiej czy gorzej mogli ich zastąpić.



W wielu wypadkach zaczęło również dawać się we znaki zmęczenie, zwykle fizyczne zmęczenie. Życie i praca w Kongo, co by tu nie mówić, nie były łatwe. Warunki życia, uciążliwy klimat, niepewna sytuacja polityczna, stan dróg, albo nawet ich brak, to wszystko prowadziło do zmęczenia. Gdy jest się młodym, łatwiej temu wszystkiemu podołać (choć nie wszystkim się to udawało i opuszczali misje już po kilku latach), ale z czasem to wszystko zaczyna coraz bardziej ciążyć.



Nie mogę również pominąć narastającego napięcia we wspólnotach domowych i w Prowincji, jak również w całym kongijskim Kościele. Wielu z nas (zagranicznych misjonarzy, nie tylko z naszego, ale i z innych Zgromadzeń) czuło, że kończy się jeden, a zaczyna nowy etap w historii Kościoła w Kongo, w którym rodzimi księża odgrywać będą pierwszorzędną rolę. Gdy chodzi o nas, prawie wszystkie nasze wspólnoty były mieszane, czyli złożone z misjonarzy (w praktyce z Polaków) i Kongijczyków. Utworzyły się jakby dwa bloki (przewidując, że tak

się stanie, na początku mojego mandatu zabiegałem, niestety bezskutecznie, o nowych misjonarzy innych narodowości). Polacy jako starsi i bardziej doświadczeni, a również, co też nie było bez znaczenia, posiadający kontakty, które zapewniały większą czy mniejszą pomoc dla misji, pełnili funkcje superiorów i proboszczów. Niektórzy młodszy konfratry nie najlepiej na to reagowali, bo uważali, że oni też są zdolni do pełnienia odpowiedzialnych funkcji. Równocześnie pewna liczba starszych konfratrów nie za bardzo wyobrażała sobie pracę we wspólnotach, których przełożonymi będą rodzimi misjonarze. Jak widać, powodów do opuszczenia misji mogło być wiele. Wymieniłem tylko niektóre z nich. Jestem jednak pewny, że nikt nie podjął tej decyzji pochopnie, bez głębokiego przemyślenia i przemodlenia sprawy.

A czy może ksiądz powiedzieć, dlaczego również wyjechał z Konga?

Wymienione wyżej powody odnoszą się również i do mnie. Z bardziej osobistych, wspomnę o szwankującym zdrowiu. Ostatni rok w Bolobo był dla mnie bardzo trudny. Zacząłem się czuć jako mało użyteczny emeryt, niezdolny do jakiegoś konkretnego wysiłku. Kilkakrotnie udałem się do Kinszaszy w nadziei, że lekarze coś poradzą. Ale nadaremno. Gdy nadszedł czas urlopu, uprzedziłem wizytatora, że zamierzam się leczyć i pewnie będę musiał przedłużyć urlop w Polsce. Po badaniach w Polsce i za radą lekarzy, zdecydowałem się na pozostanie w Europie. Zrozumiałem, że w Kongo nie będę mógł już wiele zdziałać, ale gdzieś indziej będę mógł jeszcze na coś się przydać.

Gdybyśmy spróbowali rozmawiać w kategoriach sukcesów i porażek, co dla księdza było szczególnym sukcesem w czasie długiej pracy misyjnej?

Nie lubię takich pytań, bo nie ma jednej odpowiedzi. Mógłbym wymienić wiele sukcesów i porażek, jednak żadna z nich nie wyraża należycie tego co na misjach przeżyłem. Poza tym, to co w pewnym okresie mogło wydawać się sukcesem albo porażką, po czasie nabiera innego wymiaru. Niech inni oceniają, to będzie bardziej obiektywne i prawdziwe.

Jeżeli jednak muszę na to pytanie odpowiedzieć, to za sukces uważam to, że przez wiele lat mogłem służyć Kościołowi i Zgromadzeniu w Kongo. I myślę, że nie była to służba całkiem bezużyteczna. Jak już o tym na początku mówiłem, marzyłem o pracy misyjnej, czułem się powołany do tej pracy. I Pan Bóg pozwolił mi przez wiele lat realizować to powołanie. Bardzo mu za to dziękuję. On sam osądzi czy dałem z siebie wszystko, na co mnie było stać.

A co porażką?

W pewnym sensie porażką było to, że zdecydowałem się opuścić misje w Kongo. Jak już wspomniałem, nie zależało to tylko ode mnie. Ale czasami wydaje mi się, że mógłbym jeszcze trochę poczekać z ostateczną decyzją. Myślę, że wyjeżdżając z Afryki sprawiłem pewien zawód moim konfratrom.

Zapytajmy jeszcze o radości i trudności. Co w czasie tych 30 lat misyjnej posługi sprawiło księdzu szczególną radość?

Już sam fakt, że pracuję na misjach i realizuję swoje powołanie, sprawiał mi dużą radość. Rzeczywiście, czułem się na swoim miejscu. Przy tym nigdy nie uważałem, że robię coś nadzwyczajnego, że np. podejmuję się trudów, których nie znają inni konfratry, np. ci pracujący w Europie. Nie uważałem się też

za jakiegoś bohatera, którego życie pełne jest najróżniejszych trudów i wyrzeczeń. Niektórzy bliżsi czy dalsi znajomi w Polsce i w Belgii byli nieraz zawiedzeni, że niechętnie opowiadam o trudnościach pracy misyjnej i że zwykle mówię o normalnej posłudze kapłana, pracującego co prawda w innych warunkach, ale tak naprawdę nie robiącego nic szczególnego. Pamiętam takie jedno spotkanie z siostrami zakonnymi w Polsce (nie powiem z jakiego Zgromadzenia), które czekały na jakiegoś „bohatera” i były niezadowolone, że spotkały zwykłego księdza.

Wielką radością było również to, że uczestniczyłem w narodzinach Kongijskiej Prowincji Zgromadzenia. Tak się złożyło, że choć o tym wcale nie myślałem, zostałem włączony do tego procesu dosłownie od samego początku mojej pracy w Kongo. Nie obyło się bez błędów, bólów i zawodów, ale nie pomniejszało to radosnej świadomości, że mam udział w tworzeniu czegoś ważnego dla przyszłości Zgromadzenia i Kościoła w Kongo.



A co było szczególnie trudne?

Trudne było pełnienie odpowiedzialnych funkcji we wspólnocie. Najpierw funkcji formatora w seminarium internum, które przyszło mi tworzyć od samego początku i następnie w seminarium wyższym w Kinszasie. Choć nie czułem się przygotowany do tej pracy, podjąłem się jej z posłuszeństwa i konieczności. Następnie funkcji wizytatora, szczególnie że w tym czasie zmieniał się skład personalny Prowincji; przez dziesięciolecia w Kongo pracowali wyłącznie misjonarze zagraniczni, a tu „nagle” zaczęli się pojawiać nowi, miejscowi konfratry. Trzeba było wypracowywać nowy styl, co wcale nie było takie proste.

Trudności przysparzała pogarszająca się sytuacja polityczna i społeczna w kraju. Ale o tym już mówiłem wcześniej.



Teraz po wyjeździe z Konga, interesuje się ksiądz nadal misjami? W czym wyraża się to zainteresowanie?

Wyjechałem z Konga, ale nadal pracuję jako misjonarz. Wybrałem Grecję, bo tutaj też jest misja, może nawet trudniejsza niż w Afryce. Nie chodzi mi oczywiście o warunki życia, bo przecież Grecja jest w Europie, choć obecnie kraj ten przeżywa niewyobrażalne załamanie gospodarcze. Trudności wynikają stąd, że Grecja jest krajem prawosławnym i wszystko co nie jest prawosławne nie jest tu mile widziane. Jako Polak i katolicki ksiądz czuję się tutaj bardziej „obcy” niż w Kongo.

Rodzimych katolików jest tutaj nie więcej jak pół procenta wszystkich mieszkańców (ok. 50 tys.). Zapewniam was, że nie mają oni łatwo, bo na każdym kroku spotykają się z niezrozumieniem i różnymi szykanami. Są tutaj również katolicy emigranci z najróżniejszych zakątków świata. Ich liczba ciągle wzrasta i w tej chwili może ich być już około 400 tys. Nie muszę wiele tłumaczyć, byście zrozumieli, że nie jest prostą sprawą stworzenie wspólnoty z takiej mieszanki, gdzie panują wzajemne uprzedzenia, a przede wszystkim nie wszyscy posługują się tym samym językiem. Katolicki Kościół w Grecji, poza kilkoma wyspami oraz Atenami, posiada bardzo skromne struktury kościelne. Na północy kraju, tam gdzie pracują misjonarze, Apostolski Wikariat Salonik (czyli nawet nie diecezja), który obejmuje ponad 40% terytorium Grecji, posiada tylko trzy parafie (w tym dwie ze stałym proboszczem) i trzy kaplice filialne. Katolików jest pewnie kilkanaście tysięcy, ale większość żyje w rozproszeniu, w diasporze i trzeba ich cierpliwie, i wytrwale szukać.

Gdy chodzi o Kongo oczywiście interesuję się tym, co tam się dzieje. Jednak w tej chwili nie mam wielu kontaktów z Prowincją.

Na początku bardzo dużo wysiłku kosztowało mnie nauczenie się języka i wejście w tutejszy styl pracy. Półtora roku po przyjeździe do Salonik zostałem mianowany proboszczem, by zastąpić mojego chorego poprzednika. Nie było łatwo i musiałem się solidnie natrudzić, aby podołać wyzwaniom.

Ponieważ Saloniki przynależą do Prowincji Paryskiej, czasami gościmy tutaj konfratrów z Wietnamu, który jeszcze podlega Paryżowi (choć w lutym zostanie wiceprowincją), czy z Kamerunu. Przed paroma miesiącami głosiłem rekolekcje dla konfratrów w Kamerunie, co dało mi okazję do odwiedzenia Afryki. Mamy też od września we wspólnocie konfratry Kameruńczyka, który mam nadzieję, zostanie tutaj na dłużej niż konfrater z Filipin, który pracował z nami jedynie dwa lata.

Na koniec prosimy powiedzieć coś tym wszystkim, którzy interesują się misjami, chcieliby wyjechać jako misjonarze lub pragną wspierać dzieło misyjne pozostając w Polsce.

Potocznie księżcy i bracia naszego Zgromadzenia nazywa się „misjonarzami”. Bo naszym podstawowym dziełem są „misje”, czy mówiąc inaczej „ewangelizacja”. Nie chodzi tylko o misje zagraniczne – czyli o tzw. „pierwszą ewangelizację”, ale również o misje wewnętrzne – „nowa ewangelizacja”. Pierwsza ewangelizacja jest nadal konieczna, dlatego ciągle jeszcze potrzeba kapłanów i sióstr zakonnych, a także katolików świeckich, którzy posłuszni wewnętrznemu powołaniu, opuszczają swój rodzinny kraj, by nieść Ewangelię ludziom innych kultur, którzy jej jeszcze nie znają. Jeżeli czujecie się powołani do tej służby, dziękujcie za nią Panu Bogu i ochotnie ją podejmujcie, tam gdzie Kościół i Zgromadzenie was skieruje. Jak każda służba, praca misyjna jest bardzo wymagająca, ale daje również bardzo dużo wewnętrznej satysfakcji i radości. Wielu świeckich,

ale również kapłanów i sióstr zakonnych, pozostając w kraju, czują się odpowiedzialni za „misje” i wspierają duchowo i materialnie misjonarzy. Dziękuję Wam za to bardzo, i proszę byście nie ustawiali w Waszych wysiłkach. Wasze zaangażowanie jest bardzo potrzebne misjonarzom, dosłownie dodaje im skrzydeł i sił do dalszej służby.

Równocześnie nie możemy zapominać o ewangelizacji u nas, w Polsce i w Europie. W pewnym sensie jest ona trudniejsza niż ewangelizacja w krajach tradycyjnie nazywanych „misyjnymi”. Naprawdę każdy może i powinien być misjonarzem w swoim otoczeniu. O to Was proszę i tego życzę, kończąc te moje trochę za długie i może nudne wywody.

D z i ę k u j e m y serdecznie za głęboką refleksję dotyczącą dzieła misyjnego, zakorzenioną w o s o b i s t y m doświadczeniu. Życzymy księdzu równie bogatego doświadczenia i o w o c n e g o apostołowania na polu „nowej ewangelizacji” w Europie.

